

MOJE WSPOMNIENIA

1939 - 1945

HIERONIM FISZCZOROWICZ. podharcemistrz,
b. zastępca komendanta Hufca Z.H.P.
w Kaliszu i b. komendant Harcerskiej Grupy
Łącznikowo-wywiadowczej Z.W.Z. A.K.
Obwodu kaliskiego.

Nocowaliśmy w różnych wioskach, korzystaliśmy z pomocy służby leśnej - i tu ciekawostka: w większości byli to ludzie przyśłani z terenów wschodniej Polski, z Huculczyny.

Pobyt nasz zakończyliśmy 20 lipca i udaliśmy się w drogę powrotną koleją. Ze swymi podopiecznymi rozstałem się rano 21 lipca na stacji Przygodzice w powiecie ostrowskim. Grupa harcerzy udała się do Kalisza pod przewodnictwem oboźnego. Ja natomiast zatrzymałem się w tej miejscowości nieco dłużej. Prowadziła tam obóz harcerek 7-mej drużyny z Kalisza moja żona. Z nią razem przebywali na letnisku moi synowie - pięcioletni Daniel i dwuletni Janusz.

W czasie obozowania trafiłem tam na ćwiczenia pewnej grupy 25-ej Dywizji Piechoty, która zajęta była na tym odcinku przygotowaniami linii obrony na wypadek wojny z Niemcami.

Po kilkudniowym pobycie razem z harcerkami i dziećmi wróciliśmy do domu. Pozostałą część urlopu postanowiliśmy spędzić we Lwowie. Udałem się tam jednak sam, aby odwiedzić brata Józefa - emerytowanego wachmistrza kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza. Lwów opuściłem 30 lipca w godzinach wieczornych.

W czasie mojego pobytu u brata, przebywając wyłącznie w gronie rodzinnym, nie miałem okazji do czynienia obserwacji nastrojów na tamtejszym terenie. W rozmowach bardzo luźnych, bądź z prasy starałem się wprowadzić doszukiwać wyźwięków politycznych, ale poza stereotypami nie wyniosłem niczego więcej.

Pierwsze tygodnie sierpnia 1939 upłynęły stosunkowo spokojnie; praca zawodowa w notariacie i społeczna w hufcu harcerskim. Radio i prasa donosiły wprowadzie o politycznych rozgrywkach, o "wojnie nerwów", dyplomatycznych wizytach, ale nastroje były raczej letnie, wakacyjne. Zbliżał się rok szkolny, a z nim nowe zadania dla harcerzy. Dopiero 24 sierpnia zaroїło

się w mieście od rezerwistów, zmobilizowanych do służby woj-
skowej. Następne dni przyniosły ze sobą duże podniecenie wśród
ludności i pełną napięcia atmosferę władz powiatu i miasta.

Zaczęto organizować grupy samoobrony; ludność miasta w dni
święteczne masowo stawiała się do kopania rowów przeciwczołgo-
wych i harcerstwo uzynnie uczestniczyło w tych akcjach.

W komendzie hufca męskiego zwołano zebranie w sprawie pogoto-
wia na wypadek wojny. Zorganizowano bardzo sprawne grupy
młodzieży w ogólnej liczbie 80 harcerzy, zaufanych i sprawdzo-
nych chłopców od lat szesnastu wzwyż.

Przypadło mi w udziale z ramienia komendy harcerskiej być ko-
mendantem tego pogotowia. Zadanie nasze polegało na pomocniczej
służbie wojskowej w rozmiarach, jakie okazały się konieczne
i w naszych warunkach możliwe. Listę ewidencyjną mojego oddzia-
łu przechowywałem w swoim mieszkaniu, obawiając się dostępu
w lokalu komendy niepowołanych osób. [Niezależnie od stanowiska
komendanta pogotowia harcerskiego należałem do akcji dywersyj-
nej. Po kilku dniach otrzymałem polecenie przystąpienia do
tzw. trójki operacyjnej wraz z braćmi NOWACKIMI - Antonim jako
dowódcą i Leopoldem. Zaopatrzeni zostaliśmy w pistolety typu
FN oraz po 100 naboł każdy, pozostałe materiały w postaci
trotylu, granatów ręcznych i tzw. kolce samochodowe zmagazy-
nowaliśmy u Antka, z przeznaczeniem użycia tylko na rozkaz:
Na ulicach rozlepiano już afisze o powszechnej mobilizacji.
Ruch w mieście był duży.

Wyczekiwanie na rozkazy z góry stało się coraz
bardziej denerwujące. Nad ranem pierwszego września dowiedzie-
liśmy się o wybuchu wojny. A więc stało się. W urzędach zaczęto
przygotowania do ewakuacji. W napięciu minęły dwa dni. W nie-
dzielę, 3 września w godzinach przedpołudniowych skontaktowałem

się ze mną Antek NOWACKI. Groźba jaka zawisła nad Kaliszem zmusiła nas do szybkiego działania. Cały magazyn sprzętu harcerskiego hufca kaliskiego przekazaliśmy błyskawicznie wojskowej jednostce kadrowej, stacjonującej w gmachu gimnazjum im. Adama Asnyka.

Z grupą żołnierzy przenosiliśmy namioty, pałatki, saperki, maski gazowe itp. Po uporaniu się ze sprzętem, zabezpieczeniu lokalu komendy i magazynu obaj z Antkiem ruszyliśmy do jego mieszkania po nasz materiał dywersyjny; tam oczekiwał^{na} nas Leopold. Rozdzieliliśmy zapasy między siebie, udaliśmy się każdy z osobna do lasów skarszewskich, aby zakopać materiały wybuchowe i granaty w umówionych miejscach. Moi współtowarzysze posiadali rowery, a ja ruszyłem pieszo ze swoim bagażem. Skorzystałem z pierwszej okazji i dosiadłem się do furgonu transportującego dobytek kilku mieszkańców Kalisza, uciekających do pobliskiej wsi. Nie zdradziłem się ze swoich zamiarów, współpasażerowie przypuszczali, że jestem jednym z wielu uciekinierów. Na miejsce przybyłem z dużym opóźnieniem, fura poruszała się bardzo wolno, część drogi musiałem także odbyć piechotą. Antek i Leopold oczekiwali już na mnie w lesie. Za wsią Skarszew w odległości ok. kilometra wybraliśmy miejsce w pobliżu słupa telefonicznego z numerem 125. Ruszyliśmy w szosy w głąb lasu ok. 50 m. i zakopaliśmy nasze zapasy w dole prawie metrowej głębokości. Późnym popołudniem wybraliśmy się w drogę powrotną. Pożegnałem się z kolegami, którzy udawali się do swoich rodzin do odległej o kilka kilometrów wsi Krzyżówki. Ja wróciłem do miasta, oczywiście pieszo. Przed rozstaniem wyznaczyliśmy sobie jako punkt zborny połowę drogi dzielącej Kalisz i wieś letniskową. Wracając z postanowieniem, że zostanie w mieście tak długo, jak tylko będzie można.

Czekali przecież na mnie moi podkomendni. Ponadto byłem czynnie związany z obroną przeciwlotniczą w oddziale obserwacyjno-meldunkowym.

Znalazłszy się późno wieczorem w mieście, z niemałym zaskoczeniem dowiedziałem się, że nasz odcinek obrony przeciwlotniczej biernej został zlikwidowany, a moi harcerze z pogotowia wcieleni do hufca przysposobienia wojskowego wymaszerowali z wojskiem. Nie było kogo spytać o dalsze losy harcerzy.

Ruszyłem do domu, ale żony w nim nie zastałem. Wiedziałem, że była jako harcerka zaangażowana w pomowniczej służbie obrony. W panującym w mieście bagażanie moje poszukiwania odbywały się "na ślepo". Szczęście mi jednak dopisało i dość szybko spotkałem ją w pobliżu mieszkania mojego szefa - notariusza Romana KAMIŃSKIEGO, który opuszczając wcześniej od nas miasto zostawił cały swój dobytek pod naszą opieką.

W czasie kolacji odwiedził nas mój kolega z pracy; zaczęliśmy się zastanawiać nad dalszymi posunięciami: zostać, uciekać, zostać... W nocy dotarliśmy do naszego mieszkania przy ul. Pierackiego z postanowieniem, że jednak pozostajemy w Kaliszu. Widać nie było nam już sądzone spędzić tej nocy u siebie.

Na Pl. Kilińskiego z przerażeniem stwierdziliśmy, że jest on formalnie zapchany uciekinierami, wojskiem. Wszyscy udawali się w kierunku szosy biegnącej do Łodzi. Zrozumiałem, że zaczęła się normalna ewakuacja ludności, a wojsko obsadza punkty strategiczne. Panował bałagan, ścisk, nieomal panika. Z trudem dotarliśmy do mieszkania, gdzie zastaliśmy siostrę i najmłodszego brata żony. Postanowiliśmy jak najszybciej zapakować maksymalnie dużo rzeczy i całą czwórką udać się do wsi Cienia, bo tam przebywali moi teściowie z Danielem i Januszem, wysłani poprzedniego dnia. Z pomocą dozorczy załadowaliśmy

dobytek na dwukołowy wózek i wyekspediowaliśmy brata żony - Leona wraz z dozorcą w drogę przez Opatówek do Cieni. Nieco później mieliśmy wyruszyć we trójkę: żona, jej siostra Maria - też harcerka - i ja z podręcznym bagażem, aby dotrzeć do dzieci. Marsz nasz był ślimaczy, gdyż olbrzymi tłum ludzi mimo nocy opuszczał miasto i nie pozwalał na szybsze poruszanie. O tym, by dostać jakikolwiek pojazd, nie można było nawet marzyć.

Żal za pozostawionym bezbronnym miastem, niepokój o współtowarzyszy, brak kontaktów z władzami nie dawał nam spokoju. Podczas marszu obserwowaliśmy na zachodnim horyzoncie olbrzymie słupy ognia - płonęły sterty zboża. Późno, w żółwim tempie dotarliśmy pod Opatówek, do miejsca gdzie krzyżuje się szosa z torem kolejowym. Drogę do osady mieliśmy zablokowaną; wojsko zaminowało wiadukt i na naszych oczach wysadziło w powietrze. Znałem wprawdzie inną drogę przez pola, ale informacja od oficera dowodzącego całą akcją brzmiała: Niemcy znajdują się już w Opatówku, a mieszkańcy osady i okolic zostali ewakuowani! Ogarnęła nas panika, co z dziećmi, z teściami, bratem, który wyszedł wcześniej od nas? Zaczęliśmy się zastanawiać czy nie lepiej ruszyć w kierunku wschodnim. Przypuszczaliśmy iż tam znajdziemy na jednej z szos naszą rodzinę, a może i kolegów harcerzy. Skierowaliśmy się więc ku wsi Tłokinia, aby następnie lasami dojść do szosy prowadzącej z Kalisza do Turku. Nad ranem czwartego września doszliśmy do wsi Skarszew i tutaj spotkaliśmy się z kolumną wojskową z 25-ej dywizji piechoty, wycofującą się w kierunku miasta Turek. Jak się później przekonałem, był to 29-ty pułk Strzelców Kaniowskich z Kalisza. Tam też spotkałem dwóch kolegów - harcerzy: podporucznika Bronisława TRZESZCZAKA i kaprała Józefa WISNIEWSKIEGO. Zetknąłem się także z porucznikiem Wiesławem LASKOWSKIM, który właśnie przeprowadzał

przegląd swojego plutonu. /W późniejszym okresie Sławek pełnił podczas okupacji funkcję komendanta ZWZ - AK obwodu kaliskiego/. Kolumna wojskowa formowała się dopiero do wymarszu, my korzystając z pierwszej napotkanekj chłopskiej furmanki ruszyliśmy naprzód. Oddział wojska dogonił nas w okolicy wsi Kamień, gdzie musieliśmy rozstać się z woźnicą i kontynuować podróż pieszo. Przed południem dotarliśmy do wsi Plewnia. Tam spotkałem się z moją matką i siostrami, które schroniły się u naszych krewnych. Udając się w tym kierunku mieliśmy nadzieję, że zastaniemy tam teściów i naszych synów ewakuowanych spod Opátówka. Nadzieje nasze okazały się płonne, to też po krótkim odpoczynku i rozmowie z matką udaliśmy się z żoną i szwagierką w dalszą drogę do Turku. Szosą maszerowało wojsko z dywizji kaliskiej i masa osób cywilnych. Marsz przerywany był często atakami lotnictwa niemieckiego. Likwidowano je dość szybko dzięki nieźle zorganizowanej artylerii przeciwlotniczej. Akcje Niemców nie były jeszcze zbyt silne na tym odcinku. Szkody były niewielkie. Słyszeliśmy natomiast odgłosy silnego i dłuższego bombardowania miejscowości oddalonych od nas na wschód. Jak się później okazało, bombardowano dużą kolumnę ludności cywilnej, zgrupowanej na szosie prowadzącej z Turku do Uniejowa.

Uniejów - niewielkie miasteczko nad Wartą, rzeką rzeką która łączyła nadzieje ratunku w ucieczce przed Niemcami. W naszym mniemaniu Warta była naszą silną linią obrony, której wojska nieprzyjacielskie nie pokonają. Późnym wieczorem dotarliśmy do Uniejowa i znowu rozwiały się nasze nadzieje. Nocleg spędziliśmy w stodole jakiegoś gospodarstwa na krańcu miasteczka. O wyruszeniu w dalszą drogę nie mogliśmy marzyć. W ciągu dnia raz po raz następowały silne już teraz naloty.